

STANISŁAW HELSZTYŃSKI

MIASTO I POWIAT GOSTYŃ W CZASIE OKUPACJI HITLEROWSKIEJ 1939 – 1945

Gostyń, ciche powiatowe miasteczko nad Kanią, w województwie poznańskim, w połowie drogi między Lesznem a Jarocinem, przeżyło dnia 21 października 1939 tragedię, której mieszkańcy miasta i dzisiaj jeszcze, po latach czterdziestu, nie zapomnieli. W chwili, kiedy podlegacze wojenni ze Stanów Zjednoczonych, Anglii i Niemiec zachodnich pragnęli na nowo wszcząć dzieło zniszczenia, nie od rzeczy będzie przypomnieć scenę zagłady, którą hitlerowcy zgotowali ludności polskich miasteczek i wsi.

Opis poniższy oparty jest na protokołach w Sądzie Grodzkim Gostynia, na opowiadaniach i notatkach naocznych świadków.

*

Po pierwszych dniach paniki i ucieczki we wrześniu 1939, mieszkańcy Gostynia zwolna zaczęli powracać do domu; niektórzy zapuścili się w swym lęku przed wojną aż poza Warszawę. Po ochłonięciu z pierwszego przerażenia zaczęto zabierać się do pędzenia ciężkiego i przykrego okupacyjnego żywota.

Otrzeźwienie z tego uśpienia czujności miało przyjść jak grom z jasnego nieba — pod koniec października. Już od dawna mieli hitlerowcy gotowe listy ludzi, którym nie mogli darować ich antyhitlerowskiego nastawienia. Szło o członków Polskiego Związku Zachodniego, powstańców wielkopolskich, zwłaszcza biorących udział w walce z Grenzschutzem na odcinku Leszna w r. 1918, oraz działaczy polityczno-społecznych. Od volksdeutschów zbierano dodatkowe spisy nazwisk.

Dnia 20 października, w piątek wyruszyła specjalna Todeskommission z Poznania do krwawego dzieła, do likwidacji polskiego żywiołu. Droga ich szła przez Kórnik, Środę, Śrem. Wobec braku łączności telefonicznej i ogólnego lęku Gostyń jeszcze następnego dnia, 21 października, w sobotę rano nie zdawał sobie sprawy, że czeka go podobny los: egzekucje, jak w trzech wyżej wymienionych miastach.

Co prawda, uczucie niepewności panowało w mieście już od paru dni, gdyż w niedzielę poprzednią, dnia 15 października, odbyło się podejrzane zebranie miejscowych Niemców w restauracji na Rynku pod nr 6. Jak się później okazało, zebranie niedzielne w restauracji uchwaliło śmierć czterdziestu miejscowych Polaków w Gostyniu, dalszych w Krobi i Poniecu, ogółem 75 osób.

Aresztowania zaczęły się w czwartek i nosiły w mniemaniu ogółu charakter prewencyjny, zakładniczy, tym bardziej, że były dokonywane bez pośpiechu, oględnie. Jako jeden z pierwszych wzięty był Hejnowicz Mieczysław, ojciec jedenaściorga dzieci. Umieszczony został w osobnej celi razem z jakimś obłąkańcem. Brat jego, Józef Hejnowicz, nauczyciel z Daleszyna, znajdował się już wcześniej, od 4 października, w zamknięciu na ratuszu.

Do izby posterunku policyjnego na ratuszu w Gostyniu dostawieni zostali dalsi przedstawiciele społeczeństwa polskiego. Był tu Edward Potworowski z Goli, jeden z organizatorów powstania z 1918. Obok niego znalazł się Stanisław Karłowski z Szelejewa, liczący lat sześćdziesiąt. Był też młody Antoni Graeve z Karolewa pod Borkiem, lat trzydzieści pięć, zdradzający duże zdenerwowanie, równie jak starszy od

niego o lat osiem Henryk Grocholski z Zimnowody. Znalazłszy się w zamknięciu, chodził po celi, paląc papierosy jeden po drugim, i nie odzywał się do nikogo.

Nadchodzili w eskorcie policji inni, przeważnie mieszczenie: Kapcia Leon, dyrektor miejskiego gimnazjum gostyńskiego, Małopolanin; Weiss Roman, polonista tegoż gimnazjum, liczący lat 27. Byli i inni nauczyciele: Kaczmarek Leon, oficer rezerwy, powstaniec z roku 1918, kierownik szkoły powszechnej w Gostyniu. Trzymał się mocno powtarzając: Jeśli mnie będą przesłuchiwać, powiem: „Uprawiałem politykę. Przecie wolno nam chyba uprawiać politykę we własnym kraju“. Miasteczko Borek reprezentował nauczyciel Kazimierz Wierachowski, wieś Ziółkowo nauczyciel Franciszek Wawszczak.

Zdaje się, że ludzie znaczni z miasta i powiatu zaaresztowani zostali z racji swej przodowniczej roli odgrywanej w społeczeństwie. Innych brano na skutek specjalnych oskarżeń ze strony miejscowych volksdeutschów. Młodego Stefana Skibę, krawca, wskazał ktoś z nich. Za pierwszym razem policja nie zastała go w domu, wzięła zamiast niego ojca. Chcąc uwolnić ojca, zgłosił się w piątek syn. Młody piekarz Wawrzyniec Szwarz z ulicy Leszczyńskiej należał do Obrony Narodowej i nieprzezornie pozostał w mieście. Obciążało go też to, że był powstańcem z roku 1918. Dwóch ludzi z urzędu pocztowego, Franciszek Heyduk, listonosz, i Antoni Gościński, asystent, zostało oskarżonych o rzekomo niewłaściwe odnoszenie się do Niemców w czasach polskich. Na Gościńskiego zawzięła się szczególnie Elżbieta Ceglarska, żona naczelnika gostyńskiego urzędu pocztowego.

Podobne zarzuty stawiano chłopom Janowi Jasiakowi z Bielewa i Pawlakowi Wojciechowi z Krajewic.

Stanisław Izydorczyk znalazł się w ratuszu jako sekretarz wielkopolskich kółek rolniczych. Burmistrz miasta, Hipolit Niestrawski, siedział już od szeregu dni. W ręce niemieckie wpadły akta personalne, dotyczące jego działalności powstańczej z roku 1918. Był trzymany osobno. Kazimierz Peisert, budowniczy, powstaniec z roku 1918, współpracownik „Kroniki Gostyńskiej“, zginął przez nadmiar ufności. Był nieobecny, gdy hitlerowcy przyszli po niego. Kazali mu powiedzieć, by się stawiał na ratuszu. Usłuchał.

Przez cały czwartek i piątek zwożono aresztowanych. Ponieważ parterowe izby posterunku nie mogły ich pomieścić, Polizeimeister Bracke zaproponował w najuprzejmniejszych słowach, by zechcieli zejść do piwnicy, gdzie były dwa pokoje przygotowane jako schrony ze stołami i krzesłami. Pożywienie wolno było przynosić rodzinom do ratusza. Zarówno śniadanie, jak obiad i kolację spożywano w towarzystwie żon, matek i dzieci na podwórzu, na świeżym powietrzu, wśród rozmów i nastroju wolnego od złych przeczuć.

Nawet służba magistracka, stykająca się z posterunkami, nie orientowała się w zamiarach władz niemieckich wobec aresztowanych. Charakterystyczne jest zeznanie Józefa Gościńskiego, woźnego, który mając brata pośród więźniów, śledził z największym niepokojem bieg wypadków. Mieszkał on w ratuszu naprzeciw pomieszczenia w piwnicy. Mówi, co następuje:

„O tym, że hitlerowcy przygotowują na dzień 21 października masową egzekucję Polaków, początkowo nie wiedziałem. Kiedy w czwartek przechodziłem przez odwach posterunku, uderzyły mnie wprowadzające uwagi pochodzące od ówczesnego komendanta posterunku, Brackego: „Ależ to będzie uroczystość!“ — lecz w pierwszej chwili nie umiałem sobie wytłumaczyć, do czego się to może odnosić. Dopiero w przeddzień masowej egzekucji domyśliłem się wszystkiego, gdy mnie zapytał posterunek wojskowy, stojący przed ratuszem: „Gdzie oni zostaną rozstrzelani, czy przed tym pomnikiem?“ — i wskazywał przy tym na pomnik stojący w środku Rynku.

Przedtem też już uderzyła mnie obecność w Gostyniu nieznanego mi bliżej osobnika, co do którego dowiedziałem się później, że miał to być radca Sądu Najwyższego z Poznania (Sondergerichtsrat). Widziałem go, jak przeprowadzał częste rozmowy i konferencje z ówczesnym burmistrzem komisarycznym, Oskarem Klimpel. Przypuszczam, że chodziło wtedy o ustalenie listy Polaków, którzy zostali w sobotę dnia 21 października rozstrzelani. Widziałem też, że w tych dniach dość często przychodzili do burmistrza Klimpla, jak również do komendanta policji Brackego niemieccy mieszkańcy Gostynia z czasów przedwojennych, Emil Ickes i Artur Reimann. Ponieważ wśród aresztowanych znajdował się także brat mój, Antoni Gościński, starszy asystent pocztowy z Gostynia, przeto w przeddzień rozstrzelania zawiadomiłem o wszystkich sprostowaniach w sposób ogólny moją bratową, żeby postarała się jakoś o uwolnienie swego męża.

W dniu egzekucji, tuż przed wyprowadzeniem skazańców na miejsce kaźni, zaprowadzono ich grupami po dziesięciu — obserwowałem to ze skrytki wewnątrz budynku magistrackiego — na salę posiedzeń Rady Miejskiej, gdzie był też wyżej wspomniany radca Sądu Specjalnego i dwaj nieznani mi osobnicy. Tamże podano skazańcom do wiadomości, że zostali zasądzeni na karę śmierci. Wszystko to odbywało się w tempie błyskawicznym. (Zeznanie w Sądzie Grodzkim w Gostyniu, nr akt 107—46).

Aresztowani nie mieli możliwości zorientowania się w grożącym im niebezpieczeństwie. Kilku z nich — Jezierski, Konieczny — dostało pozwolenie odniesienia pieniędzy do domu. W piątek fryzjer i elektryk w jednej osobie, Władysław Konieczny, widząc, że w schronie są tylko dwie lampy naftowe i dwie świece, przypominające nieco gromnice, zabrał się do instalowania elektryczności w improwizowanym więzieniu. Polizeimeister Bracke pozwolił mu iść do domu po narzędzia, dał do pomocy dwóch towarzyszy niedoli — Łagodzińskiego i Gościńskiego — i wyglądając oknem, gdy byli na podwórzu, powiedział, że następnego dnia będzie może mógł wypuścić ich zupełnie na wolność. Toteż paniki wśród więźniów nie było, nikt nie gotował się na śmierć. Próbowano nawet dowcipów: — Dyrektorze Kapcia, powinniście tu jakiś order urządzić, żebyśmy mieli rozrywkę! — żartował ktoś z pedagoga. Dyrektor, zannurzony w ponurym milczeniu, machnął apatycznie ręką: — Odechciało mi się odczytów. — A pan, panie burmistrzu, powinien był pomyśleć wcześniej i kazać powstawić łóżka dla nas. — Ba, żebyśmy byli o tym wiedzieli — usprawiedliwiał się Niestrawski.

Jedna rzecz uderzyła aresztowanych przykro w piątek wieczorem. Zapowiedziano, że kto rano w sobotę chce mieć śniadanie, musi uprzedzić rodzinę, żeby śniadanie było przyniesione już o godzinie szóstej, a nie o siódmej jak zwykle. Zaczęto się domyślać, że grozi im wywiezienie. Noc — jak poprzednio — spędzono, siedząc na ławach, leżąc na materiałach przygotowanych przez magistrat do obrony przeciwlotniczej. Niektórzy postarali się o sienniki.

Wstał wreszcie dzień 21 października. Mroczna, dżdżysta, październikowa, jesienna sobota. Na miejsce zaczął się od wczesnej godziny dziwny ruch. Na środek Rynku, w pobliżu kolumny Chrystusa Króla, zajęchały dwa czy trzy auta ciężarowe i zaczęły zrzucać progi kolejowe i worki z piaskiem. Obsługujący je pod eskortą policji kolejarze polscy zaczęli stawiać rodzaj drewnianej ściany. Zmieszani z tłumem uwiązali się tryumfując volksdeutsche z Gostynia, Daleszyna, Krajewic i okolic.

Około godziny dziewiątej przyjechały cztery autobusy z grupą wojska, tzw. „Mordkommission“. Wojsko to udało się do lokalu przy Rynku i tam pozostało do chwili wezwania przez komendanta wspomnianej wyżej komisji. Gestapowcy, którzy przybyli, tzw. Sondergericht, udali się do ratusza.

Równocześnie wyszedł stamtąd, z ratusza, woźny, Mieczysław Kawski, i odwiecznym gostyńskim zwyczajem — tym razem z rozkazu Polizeimeistra Brackego — zaczął obchodzić cztery rogi Rynku i ulice, wydzwaniając i ogłaszając rozporządzenie władz, w myśl którego o godzinie dziesiątej zebrać się winni wszyscy mężczyźni

w wieku od lat szesnastu do sześćdziesięciu na Rynku. Wśród silnego zaniepokojenia zaczęli ludzie wychodzić z domów i kierować się na wskazane miejsca. Miejscowi volksdeutsche, policja i oddziały SS poruszały się w pełnym uzbrojeniu. We wszystkich ulicach i uliczkach wokół Rynku, stało wojsko uzbrojone w lekkie karabiny maszynowe. U wylotu ulicy św. Ducha i Wolności (dawniej Klasztorna), Młyńskiej i Nowej stały ciężkie karabiny maszynowe z obsługą. Ulica Zamkowa zatarasowana była samochodami ciężarowymi i autobusami.

Stawianie palisady z kłoców dębowych dobiegło końca. Około dwa tysiące mężczyzn stało na placu. Do drzwi ratusza wbiegali gońcy. Żon i krewnych nie dopuszczano do wnętrza.

Dopiero po przebudzeniu się, umyciu, zjedzeniu śniadania na podwórzu i wprowadzeniu do schronu zaczęła do umysłów aresztowanych przenikać świadomość o grożącym im niebezpieczeństwie. Już w nocy Maksymilian Piątkowski, księgowy z cukrowni, miał napady strachu i duszności, wołając, by otworzono drzwi i wypuszczono go na świeże powietrze. Zdenerwowany Graeve oburzył się na to:

— Jeszcze gotowi nas powystrełać! Co do mnie, czuję się niewinny.

— My wszyscy czujemy się niewinni — odrzekł ktoś w mroku.

Miedzy godziną ósmą a dziewiątą nastąpiła wśród aresztowanych jeszcze większa konsternacja. Coś z odgłosów na mieście przeniknęło do schronu. Zaczęto podejrzewać rzeczy niedobre. Zanosilo się na ciężką rozprawę.

Tymczasem na zewnątrz o godzinie 9,45 wymaszerował oddział egzekucyjny — w sile mniej więcej czterdziestu żołnierzy — z hotelu i stanął w odległości o kilka metrów od ratusza. Przed ratuszem, przy wejściu, ustawiła się policja oraz Gestapo. Rynek o tej porze wypełnił się w bród mieszkańcami miasta. Ludzie stali na placu, na schodach domów, w sklepach. Oczy wszystkich skierowane były na ratusz i na bramę główną. Od stopni ratusza w kierunku na Rynek, w stronę zachodnią, gdzie widniała wkopana w bruk palisada, utworzono szpaler.

W ratuszu rozstrzygał się los aresztowanych. O godzinie 9,45 otwały się drzwi schronu i Polizeimeister Bracke wyczytał dziesięć nazwisk spośród obecnych. Nie jest stwierdzone, czy nastąpiło jakieś przesłuchanie ze strony Sondergerichtu, który przyjechał o godzinie 9-tej. Woźny Gościński twierdzi, że widział radcę sądowego w rannych godzinach w schronie, za stołem w świetle lampy. Skazany Mieczysław Hejnowicz, zdaje się, był w nocy badany w celi więziennej i katowany, jak to można było wnosić z krzyków dochodzących z dołu do mieszkania woźnego. Również Skiba był badany i bity tej ostatniej nocy.

Obecnie Bracke, wyczytawszy nazwiska, przeprowadził wyczytanych przez podwórze do izby posterunku na parterze. Tutaj kazał zdać wszystkie kosztowności i pieniądze do gotowych kopert, po czym powiódł ich do sali posiedzeń na pierwsze piętro. W tym miejscu odczytano skazanym akt oskarżenia i wyrok śmierci. Bezpośrednio potem wyprowadzono ich na miejsce kaźni.

Szli w pierwszej dziesiątce Grocholski, Karłowski, Kaczmarek Szczepan, Stryczyński Kazimierz, pomocnik młynarski z Piasków, Hejnowicz Mieczysław, Skiba Stefan, Pawlak Stefan, Kwaśny Leon, urzędnik policji z Głosin pod Borkiem, Pałuszczak Szczepan, robotnik z Borku, i Wawrzyniec Szwarec.

Zaskoczenie wywołane wyrokiem, zdumienie spowodowane niespodziewanym obrotem sprawy, jakby zamknęło usta skazanym. Szli dwójkami, krokiem wolnym, w milczeniu, niektórzy z wyraźnie, dumnie podniesioną głową. Kierowano ich ku dębowym blokom, pod kolumnę Chrystusa Króla. Szpaler od bramy ratusza do palisady świecił pustką, na przestrzał. Zamknął go od tyłu za skazańcami pluton egzekucyjny. Eskortą z nabitą bronią spoglądała w tłum, gotowa do strzału w wypadku jakiegokolwiek odruchu. Zebrani rozumieli, że nie ma ratunku.

Krótką była droga tragicznej dziesiątki. W momencie zbliżenia się do ściany bloków doskoczyli gestapowcy i chwytając skazańców ustawiali ich rzędem wzdłuż stojącej zapory z bloków, odwracając ich twarzami do ściany. Pierwszy szereg plutonu egzekucyjnego ukląkł, drugi trzymał broń stojąco. Komenderujący oddziałem krzyknął: Hände hoch! i gdy to zostało wykonane, dał drugie hasło: Achtung! i trzeci: Feuer! Na błysk szabli padła salwa. Skazańcy runęli na ziemię.

Nie wszystkie strzały jednak były celne. Męczących się i leżących na ziemi uśmiercano strzałami z browningów pojedynczo. W pewnej chwili niespodzianie wybrano spośród tłumu kilku mężczyzn, którym rozkazano usuwać zabitych na samochód ciężarowy, stojący na narożniku Rynku i ulicy św. Ducha. Wobec zerwanego na rzece Kani mostu ruszyło auto na cmentarz, w stronę klasztoru Filipinów, droga okrężną, przez ulicę św. Ducha, Kolejową i koło cukrowni. Tam zrzucano trupy z auta przed schody cmentarza, po czym ciągnęli je kolejarze, kopiący mogiłę, po ziemi i zrzucili beładnie do dołu. Dwa trupy dawały słabe oznaki życia. Uciszone je dalszymi strzałami w głowę. Ciała były zmasakrowane, czaszki rozbite, mózgi wyprysnięte, oczy wychodzące na wierzch.

W kwadrans po pierwszej salwie zbliżała się do mety tą samą drogą następna dziesiątka. Szli w niej: Potworowski Edward, Peisert Kazimierz, Kapcia Leon, Weiss Roman, Hejnowicz Józef, Gościński Antoni, Piątkowski Maksymilian, Jasiak Jan, Łagodziński Józef i Graeve. Łagodziński, drogerzysta z Rynku, wyszedłszy z ratusza, zwrócił się ku oknu swego mieszkania, gdzie stała żona z dzieckiem, i dał jej ręką znak pożegnania.

W chwili przed salwą zdarzył się incydent z Graevem. Nerwy skazańca nie wytrzymały. Nim padł strzał, odwrócił się twarzą ku gestapowcom i rzucił się na ziemię równocześnie z salwą. Zaczął się rozpaczliwie wyrwać chwytającym go SS-manom, którzy po dobieciu innych odprowadzili go na ratusz. Zdawało się, że manewr ten, akt świadomy czy dokonany w paroksyzmie trwogi, uratuje mu życie. Stało się inaczej. Rozwścieczeni gestapowcy powalili go w hallu ratusza na ziemię, skatowali, chwycili w cztery za ręce i nogi, zawlekli po trzeciej dziesiątce na miejsce stracenia i tam kopiąc go butami, stając mu na piersiach i szyi, mścili się nad nim. Wreszcie wymierzony w serce strzał położył kres pastwieniu się i nieszczęśliwy opadł bez ruchu.

W tej trzeciej rundzie zginęli: Niestrawski Hipolit, Izydorek Stanisław, Heyduk Franciszek, Wierachowski Kazimierz, Pawlak Stefan, Wawszczak Franciszek, trzech robotnicy z Piasków: Rosik Józef, Skowron Tomasz, Stasiak Franciszek, oraz rolnik z Krajewic, Rosiński Jan.

Drugi ładunek platform zmieścił drugą i trzecią dziesiątkę. Czwarta grupa była już w izbie posterunku, zdając przedmioty wartościowe i pieniądze i mając za chwilę wejść na salę posiedzeń Rady Miejskiej, by tam usłyszeć swój wyrok. Nagle Polizeimeister Bracke wpada do lokalu i wyzywając podwładnych od wściekłych psów, którym nigdy nie jest dość krwi przelanej, zawraca skazańców do schronu. Wykrzykiwał przy tym: Dreissig sind erschossen worden. Ist's euch nicht genug, ihr verdammte Bande!

Odprowadziwszy Polaków do schronu oświadczył: Koledzy wasi zostali przed chwilą rozstrzelani. Wy jesteście ułaskawieni.

Okazało się, że już w piątek skreślono z listy dziesięciu skazańców. Piekarza Hasińskiego uratował burmistrz Klimpel, fryzjera Koniecznego komendant placu dr Wiese, jego klient, kupca Dzieciuchowicza SS-owcy, jego lokatorzy, Trąbkę, Modlibowskiego, Jezierskiego i innych jakieś dalsze wpływy. Do sędziwego Dobrogosta Lossowa, również uwolnionego, odezwał się jeden z hitlerowców, że krewnego jego, Lossowa, w Niemczech, stracono jako zdrajcę Hitlera.

W poniedziałek wieczór pozwolił Polizeimeister Bracke ułaskawionym wrócić do domu. Przy całej swej gorliwości miał on jakieś ludzkie sumienie.

Todeskommando, które przed i po egzekucji raczyło się trunkami w restauracji na Rynku pod nr 6, ruszyło tegoż popołudnia do Krobi, gdzie rozstrzelano piętnastu mężczyzn, i do Ponieca, gdzie zginęło od jego kul trzech Polaków.

W Krobi decydował o egzekucji burmistrz Karl Kollewe, wójt Karl Gustaw Begemann z Wymysłowa i księgowa Anna Barufe. Stracenie odbyło się w podobny sposób jak w Gostyniu. Aresztowani byli więzieni grupami w gmachu ratusza w trzech pokojach. W sobotę, 21 października, zebrano wszystkich w jednej celi. Tuż przed egzekucją wprowadzono ich na salę obrad Rady Miejskiej, gdzie znajdował się sąd w składzie trzech hitlerowców. Jeden z nich był w mundurze gestapowca. Tam podany został skazanym do wiadomości wyrok śmierci, po czym wywieziono ich zaraz na miejsce stracenia. Wśród rozstrzelanych znajdował się Julian Łoniewski, b. posterunkowy policji państwowej. Dalej Marceli Chudy, lat 23, syn budowniczego, Henryk Pawlicki, były żołnierz. Jeden z donosicieli, Begemann, dostał w następstwie rozstroju nerwowego i skończył w domu obłąkanych w Dziekanecie.

Prócz wyżej wymienionych zginęli w Krobi podczas egzekucji w dniu 21 października 1939: Franciszek Wolny z Karca, Stanisław Gil z Niepartu, Mariusz Sumiński z Kuczyny, Józef Korytowski z Chwałkowa, Kazimierz Sonnenberg z Krobi, Jan Szczurny, Walenty Walczak z Pępowa, Feliks Poprawa z Pępowa, Hołowiński i dalszych trzech.

W Poniecu rzecz dokonała się przed zmierzchem 21 października, w tę samą sobotę, w której odbyły się egzekucje w Gostyniu i Krobi. I tutaj zamierzano podobno stracić piętnastu Polaków, lecz zasiedziali Niemcy miejscowi byli temu przeciwni. Rozstrzelano tylko trzech.

Postawa skazańców we wszystkich miejscowościach była tego rodzaju, że wprowadziła w zdziwienie nawet wykonawców wyroku. Wyrażali się oni z uznaniem: Alle Achtung vor diesen Männern, sie nahmen den Tod in schöner Haltung entgegen.

Zdaje się, że ten sam pluton egzekucyjny spełnił swą ponurą rolę w następnych dniach w Lesznie i Kościanie. Jeśli dodać do tego słynną, najbardziej okrutną masakrę więzienną z dnia 22 października w Inowrocławiu, łatwo pojąć strach, który padł na społeczeństwo wielkopolskie po tej rzezi.

Na miejscu, gdzie odbyła się egzekucja w Gostyniu, urządzono miejsce uświęcone i zasadono kwiaty. Tworzą one dzisiaj krwawo biały rabat pośrodku bruku, okrywającego rynek. Naprzeciw, na murze ratusza widnieje tablica z patetycznymi, dla mieszkańców pełnymi znaczenia słowami: Stąd wyszli na szaniec śmierci, by nam dać zwycięstwo, bohaterowie nasi najdrożsi — 21 października 1939.

Cierpienie Gostynia nie skończyło się na tragedii z dnia 21 października 1939 r. i rozstrzelaniu trzydziestu jego mieszkańców. Dnia 8 grudnia 1939 wielka część mieszkańców dostała rozkaz opuszczenia miasta, między nimi w pierwszym rzędzie rodziny rozstrzelanych. Około tysiąca ludzi załadowano w pociąg i skierowano do Rawy Mazowieckiej. Następna transza, drugie tysiąc ludzi, wywieziono w warunkach daleko gorszych do Tarnowa. Pierwsza grupa jechała normalnym osobowym pociągiem, druga w wagonach towarowych. W tydzień później podążyła za nimi ludność Krobi i Ponieca. W latach 1940 i 1941 szły jeszcze trzy transporty gostynian do tzw. Generalnej Guberni. W roku 1944 zabierano chłopów i robotników na roboty do Niemiec. Wywózka ta odbywała się także już wcześniej.

W pierwszym roku urządzono w Gostyniu łapankę na ludzi, wychodzących po sumie z kościoła i poprowadzono wszystkich dla kontroli do Arbeitsamtu. W zimie 1941 powtórzono tę operację celem zebrania futer dla żołnierzy kostniejących u wrót Leningradu.

Kościół zamknięto w roku 1942. Większość z nich obrócono na magazyny. Były używane szczególnie do zsypywania zboża. W całym powiecie funkcjonował jeden drewniany kościółek w Domachowie, na Biskupinie.

Księża zostali prawie doszczętnie wytepieni. Zginęli z powiatu: dwaj Andrzejewscy, jeden, proboszcz z Kunowa, i drugi, wikary z Gostynia. Ponadto zginęli: ksiądz Bodzianowski, proboszcz z Domachowa (Dachau), Tybiszewski Leonard ze Starego Gostynia (Dachau), Dziegiecki Jan, proboszcz z Jeżewa, zagazowany w Dachau, Servignac, kapelan sióstr Miłosierdzia w Kasynie gostyńskim, staruszek, również zagazowany w Dachau, i kilku innych.

Ogłoszenie parafii z duszpasterzy odbyło się w dwóch turach. Pierwszy raz w maju 1940 r. Księża zaproszono wtedy do gmachu gimnazjum w Gostyniu. Stąd przewieziono ich do Zakładu Ojców Werbistów w Bruczkowie koło Borku. Potem do klasztoru Benedyktynów w Lubiniu, a stąd do Dachau.

W październiku 1941 zabrano resztę księży, między nimi również Benedyktynów z Lubinia, księdza Mrełę i Lorkiewicza. Niektórzy księża, jak np. ks. Olejniczak z Gostynia, znaleźli się w Forcie VII w Poznaniu. Młodziutki ksiądz Organiszczak, rodem ze Stankowa, przebywający całą okupację w Warszawie, stracił życie we Wrocławiu, przewieziony tam podczas powstania warszawskiego. Ksiądz Kaczor z Gostynia, Włodarczyk z Piasków, Woźny z Borku, przetrzymali Dachau i powrócili z niego żywi.

Wracając do opowieści wojennej z Gostynia, wspomnieć należy, że latem 1941 obalono kolumnę Chrystusa Króla, stojącą na środku rynku gostyńskiego. Zaprzagnięto do czegoś parę aut ciężarowych i targano łańcuchami, aż konstrukcja runęła. Następnego dnia ukazało się na murach miasta ogłoszenie o sabotażystach niszczących pomniki. Dla pozorów wzięto dwudziestu zakładników, których jednak wkrótce zwolniono. Zniszczono również na Górze Zamkowej pomnik Mikołaja Przedpełkowica, wojewody z XIII w., założyciela Gostynia, nagrobki na starym cmentarzu i wszystkie figury przydrożne. Biblioteki powiatu wywieziono do Poznania, mianowicie księgozbiory z klasztoru Filipinów, z gimnazjum, z Towarzystwa Czytelni Ludowych oraz zbiory regionalne Władysława Stachowskiego, red. „Kroniki Gostyńskiej“. Niszczono przedmioty sztuki, jak w Gębicach wielki obraz Rostworowskiego pt. „Mojżesz“, z powodu tematu biblijnego.

Dla Kosowa, Siemowa, Goli i okolicy stała się krwawym mementem egzekucja sześciu ludzi za posiadanie broni, straconych w kopalni żwiru, na granicy Starego Gostynia i Goli. Trzech nieszczęśliwców pochodziło z Siemowa: Kaczmarek Wojciech, Glinkowski Wincenty i Leon Jarczyński. Dwaj pierwsi mieszkali na opłotkach w Grabowcu siemowskim. U Kaczmarka znaleźli żandarmi jedynie starą, zardzewiałą łuskę od naboju, pozostałość po pierwszej wojnie światowej. Łuska leżała gdzieś w żarnach i była przedmiotem — zdawało się — tak niewinnym, że gestapowcy zbiwszy właściciela nie zabrali go z sobą, lecz kazali mu się stawić samemu na posterunku w Gostyniu. Glinkowskiego, który miał sztucer zakopany pod pieńkiem w drwalni, podeszli w ten sposób, że wmówili mu, iż Kaczmarek, sąsiad, go zdradził. Wskazał im miejsce, został skatowany i od razu zabrany. Tak samo i młody Jarczyński, który miał ukryty w słomie na poddaszu ponad boiskiem rewolwer. Przrzekano darowanie winy, jeśli się przyzna. Kaczmarek, któremu nikt nie śmiał doradzić wyraźnie ucieczki, powlókł się dnia następnego przez Kosowo i Golę do Gostynia.

Przyłączono do nich dalszych trzech skazańców, pochodzących z Krajewic, nazywających się prawdopodobnie: Mroczek Stanisław, Karólczak Ignacy i Staśkowiak Czesław. Dnia 8 grudnia rano wywieziono ich w dwóch zamkniętych autach w żwirówisko i rozstrzelano. Wobec szczupłości eskorty i braku obstawy dokoła miejsca egzekucji wyprowadzano ich po trzech i tracono w dwóch różnych punktach. Jeden ze skazanych — nie siemowskich — walczył rozpaczliwie o życie.

Ciała załadowano na wóz i przewieziono na cmentarz do Starego Gostynia. Przyłapani robotnicy rolni, nie wiedzący co się święci, dostali rozkaz kopania dołu na cmentarzu, nieświadomi, jaki los ich czeka. Skończyło się na pogrzebaniu straceńców

spod lasu. Rewizja odbyła się trzeciego grudnia, egzekucja ósmego. Zwiedziłem ten grób w Starym Gostyniu. Leży na nim płaskorzeźba z wyobrażeniem Orła Białego.

Na miejsce chłopów, usuwanych z siedzib, przychodzili od r. 1939 Niemcy Baltiesowie. Możliwi spośród nich, jak Roppowie i Engelhardtowie, otrzymali majątki ziemskie; inni brali co lepsze zagrody polskie, łącząc z reguły dwa gospodarstwa w jedno. W następnych latach napływali Niemcy z Besarabii, jeszcze później tzw. Wolhyniendeutsche.

Pozostali mieszkańcy wsi, Polacy, żyli pod coraz ściślejszą kontrolą. Kontyngenty zbożowe i hodowlane szły stale w górę. Za rzeź nierogaczyny z tak zwanego „zabicia czarnego“ groziło długie więzienie lub śmierć. Doświadczył tego Jaskółski z Dalabuszek. Gdy się rzecz wydała, współnik, wysiedleniec z Kosowa, został zasądzony w Lesznie na czternaście miesięcy więzienia, żona Jaskółskiego na osiem lat, by nigdy z więzienia nie wrócić, on sam zaś w lipcu 1942 skazany na śmierć przez ścięcie. Pod topór katowski, a właściwie gilotynę poznańską, dał głowę Wawrzyniak z Brzezia za posiadanie broni i Jeńcowie z Czajkowa, ojciec i syn, za umniejszanie tucznego żywca Rzeszy. Rozplakotanie straceń przez ścięcie mroziło krew w żyłach mieszkańców.

Próbę konspiracji zorganizowali robotnicy huty szklanej pod lasem za dworcem kolejowym w Gostyniu. W Wielką Sobotę 1941 wykryto spisek, aresztując trzydzieści osób. Wywieziono ich do Lipska, gdzie proces o zdradę stanu ciągnął się przez kilka miesięcy. Wyrokiem sądowym rozstrzelano ośmiu, resztę zatrzymano w więzieniu. Brak o nich z wyjątkiem pięciu wszelkiej wiadomości. Duszą organizacji był uczeń gimnazjum gostyńskiego, Jakóbczyk, syn listonosza z Gostynia.

W r. 1942 zostało kilku chłopów w Piaskach zdybanych przy czytaniu tajnego pisma Rzuciwszy gazetkę na próżno próbowali uciec. Fala aresztowań objęła kilkadziesiąt osób, proces odbył się w Poznaniu. Józef Polaszek, syn budowniczego, mimo czekającej go gilotyny, bronił się mężnie i nie zdradził współników.

Któręś niedzieli 1941 roku robotnik Stanisław Dawidziak, idąc z żoną ulicami miasta Gostynia, został zaczepiony przez pijanego policjanta Alberta Mellentina i zadźgany bagnetem na śmierć. Sprawca otrzymał cztery lata więzienia. Po odbyciu połowy kary został jednak zwolniony. Uśmiercając niewinnego przechodnia wykrzykiwał, że tak wszystkich Polaków wymorduje.

Przez cały czas okupacji wpływały do Sądu Grodzkiego w Gostyniu meldunki o śmierci Polaków z Gostynia i z powiatu w obozach koncentracyjnych, szczególnie w Mauthausen. Zostało tych meldunków ponad trzydzieści. Na każdym z nich widnieje charakterystyczny, stereotypowy przypis kancelisty: Da es sich um Polen handelt, ist nichts zu veranlassen — daher zu den Sammelakten.

Ponieważ hitlerowcy podczas odwrotu spalili akta, nie można odtworzyć szczegółów akcji eksterminacyjnej i germanizacyjnej, która z dawnego polskiego powiatu gostyńskiego miała stworzyć wzorową niemiecką część Warthelandu, ochrzczoną mitologizującą nazwą: Gostingen. Wkroczenie wojsk radzieckich i polskich z początkiem 1945 położyło kres tym szaleńczym planom.

Ciche miasteczko odrzuciło koszmar okupacji i zabrało się na nowo do wyteżonej, codziennej pracy, która stawia je w rzędzie zdrowych, mocnych jednostek administracyjnych naszego państwa. Rzesza Niemiecka, leżąca dawniej o trzydzieści kilometrów od miasta, została odsunięta o kilkadziesiąt kilometrów za Głogowę, Wrocław i Ślubice. Ten i ów gostynianin pozostał w Warszawie. Inni posunęli się na zachód — znaleźli się wśród nich i niektórzy z tych, którzy byli na liście skazanych w roku 1939. Skrzętny, ruchliwy Gostyń nad Kanią chce być wszędzie, gdzie się tworzy nowa, lepsza rzeczywistość.

Przyłączając się do ruchu Obrońców Pokoju powtarzają mieszkańcy Gostynia, świadkowie krwawej egzekucji z roku 1939, z głębi serca płynące słowa: Koniec wojnie, koniec scenom podobnym do tej, którą przeżyliśmy dnia 21 października 1939. Niech się rozpadnie w proch i pył widmo neohitlerizmu w adenauerowskiej postaci.